

Kazimiera Alberti

---

## **Sekrety Apulii (fragment)**

### **Flirt z Barionem**

Wczoraj otrzymałam niezwykle dziwny bilecik. Elegancka koperta zdradzała przywiązanie do estetyki. Widniejąca na niej wielka litera „B” w szafirowym kolorze niosła ze sobą smak zagadki. Pospiesznie rozdarłam kopertę.

„Czy zechciałaby Pani trochę ze mną poplirtować? Będę czekał jutro o dziewiątej przed stacją.

Barion”

Niejaki Barion chce ze mną flirtować? A któż to taki? Gdzie się poznaliśmy? Skąd zna moje nazwisko i w jaki sposób zdobył mój adres? Jedna niewiadoma za drugą!

I kim jest ten Barion? Właścicielem jakiegoś baru?! A może ukrywającym się pod pseudonimem aktorem?

Ale pokażcie mi jedną kobietę – jedną, jedyną na całym świecie – która nie uśmiechnęłaby się na wzmiankę o flircie? Tylko godzina nie wydała mi się zbyt poetycka. Dziewiąta rano!

Cały dzień byłam przyjemnie podekscytowana, jak każda kobieta przed randką w ciemno. Przebudziłam się nawet w nocy. „Barion!” Czy to imię? A może nazwisko mężczyzny, któremu się spodobałam?

Dzisiaj rano, punktualnie o dziewiątej pojawiłam się przed dworcem. Zastałam tam typowy rozgardiasz, charakterystyczny dla leżącego na południu Włoch miasta. Wysokie wagony, które sprawiały wrażenie, jakby każdego ranka opuszczały muzeum, aby skierować się na tory, tragarze, smarkacze, ciągnący cię za rękaw...

Nie wiem jak, ale już z daleka rozpoznałam Bariona.

Zbliżył się do mnie elegancki, ciemnowłosy mężczyzna. Już na pierwszy rzut oka doceniłam klasę jego sportowego ubrania. Uchylił swojego modnego kapelusza Borsalino, uśmiechając się do mnie:

– Barion. Bardzo dziękuję za odpowiedź.

– Za jaką odpowiedź? Przecież nie było żadnej.

– Och! To nieprawda! Udzieliła pani najpiękniejszej, jaką może dać kobieta. Przyjęła pani moje zaproszenie.

– Ale... jak mnie pan rozpoznał?

– Wydaje się to pani dziwne? Już z daleka każdy mężczyzna rozpoznaje kobietę, która lubi flirtować.

– Kiedy pan przyjechał? Teraz? A skąd?

– Przybywam prosto z legendy.

– Z tym nowoczesnym neseserem? Jak się pan naprawdę nazywa? Barion. Czy to imię, czy nazwisko?

– Może być zarówno jednym, jak i drugim. Jak pani woli.

– Ale kim pan jest? Czym się pan zajmuje?

– Jestem założycielem miasta. To zajęcie, które obecnie poszło w zapomnienie.

– Ach! Teraz dopiero rozumiem, jaki spotkał mnie zaszczyt. Mogę poflirtować z założycielem miasta! Z człowiekiem z legendy! Podczas moich podróży flirtowałam z różnymi mężczyznami, od poważnych ministrów poczynając, a na romantycznym rybaku-marynarzu kończąc. Ale nigdy z takim bohaterem! A ile ma pan lat?

– My mężczyźni zawsze podajemy nasz wiek. Oto mój dowód osobisty.

Zaciekawiona spojrzałam na dokument i przeczytałam:

„Barion. Przywódca. Założyciel miasta Bari. Wiek...”

– Wiek domyślny! Czyżby żył pan wiecznie?

– Mogę zaoferować pani ramię?

Zauroczona, skinęłam przyzwalająco głową.

Podał mi ramię z taką galanterią i wdziękiem, jakich mógłby mu pozazdrościć dwudziestoczteroletni młodzieniec.

– Z pewnością jest pani ciekawa powodów, dla których się tutaj pojawiłem. My, założyciele miast, cierpimy na nieuleczalny romantyzm. Każdy z nas był na tej apulijskiej ziemi ogrodnikiem, który zasadził wiotki pęd na kamienistym gruncie i marzył, aby wyrósł on na szumiące drzewo, rodzące owoce...

Jego oczy zaszyły delikatną mgiełką. Niespodziewanie nowoczesny mężczyzna zmienił się w marzyciela z innego świata.

– ...Wielu z nas widziało, jak nasze dzieła obracają się w ruinę. Zniszczone przez wojny, wyludnione przez epidemie, obrócone w gruzy przez klęski naturalne. Ale moje dżonie okazały się szczęśliwe.

– Tak! Zasadził pan cudowny pęd karmiony solą morską i balsamicznym jodem.

– Wiele razy poważne niebezpieczeństwa zagrażały tej gałązce! Ale w krytycznych momentach zawsze śpieszyłem na ratunek i z nieludzkim wprost wysiłkiem woli i sugestii, w napięciu i z ogromnym zaangażowaniem zdołałem oddalić nieszczęście. Walczyłem z ludzką niegodziwością, z bakteriami, z huraganami, z uporem kamieni i z suszą. To ja stałem na czele floty świętego Marka w 1002 i odepchnąłem wyjący wicher, uspokoiłem wysokie fale i trzymałem rękę na pulsie Piotra Orseola II..., krzycząc jak szalony do jego ucha: „Śpiesz się! Nie pozwól, aby na marne poszło sześć miesięcy bohaterskiego oporu, nie pozwól, żeby Saraceni weszli do miasta paląc i grabiąc!”... Zdołaliśmy dotrzeć w ostatniej chwili! Czułem te momenty w krtani, w przegubach, w każdej mojej żyłce! Uratowałem miasto!

Przyglądałam mu się z rosnącym podziwem. Czy znacie jakąś kobietę, której nie podobałby się taki mężczyzna?

– Nie zawsze moja hipnotyzująca siła okazywała się wystarczająca. Może sobie pani wyobrazić, co czułem kiedy Wilhelm Zły całkowicie zniszczył moje dzieło? Siedziałem na ruinach bezbronny jak dziecko. Gorzkie łzy kapały przez palce moich dłoni na jeszcze ciepłe popioły, po których tańczyły iskierki ognia. Taką rozpacz może zrozumieć tylko ktoś, kto widział, jak dzieło jego życia zmienia się w niwecz!...

Z marzyciela i bohaterskiego pogromcy morskich odmętów w jednej chwili zmienił się w zwykłego człowieka, którego nie ominęły cierpienia spowodowane przeciwnościami losu i ludzką zawiścią. W tym momencie wydał mi się taki bliski.

– Łzy są znakiem słabości! I jeszcze nigdy niczego nie stworzyły! Powiał odwieczny morski wiatr i je osuszył! A ja uśmiechnąłem się znowu, stojąc wśród ruin. „Trzeba zacząć od nowa! W końcu mam już niejaki doświadczenie!” I zacząłem od początku w tym samym miejscu, u stóp prawie zrównanej z ziemią katedry, u stóp cudownie ocalałego Świętego Mikołaja. Dziesięć lat zachodu kosztowało mnie zdobycie pozwolenia na odbudowę miasta!

– Często pan tu wracał?

– Mój *genius loci* zawsze czuwał nad miastem! Osobiście wracałem, kiedy zły los zagrażał mojemu dziełu, kiedy huragan dziejów chciał wyrwać z korzeniami moje drzewo. Ale wracałam również wtedy, kiedy nadchodził czas rozkwitu, aby chronić je przed zimnem i gradobiciem.

– A teraz, co pana tu sprowadza?

– Już od dłuższego czasu nie oglądam owoców mojej pracy. Tęsknota ogrodnika!

– A kiedy był pan tutaj po raz ostatni?

– Doskonale pamiętam tamten dzień. Gorące powietrze rozgrzane południowym wiatrem, a potem krótki deszcz oczyszczający miasto. Ale kwietniowe słońce natychmiast osuszyło ulice. Z kalendarza z łobuzerską ciekawością wyglądała data „25”. Był rok 1813. Rękami Joachima Murata położyłem kamień węgielny pod nowe Bari.

Mówił wzruszonym głosem, jak każdy z nas, kto opowiada o pięknym wydarzeniu z własnego życia.

– Dzisiaj przybyłem, aby zwiedzić tę nową część miasta. Czy zechciałaby pani zostać moją przewodniczką?

– Ja?! Ale ja jestem cudzoziemką, nie wie pan o tym?

– Wiem doskonale! I właśnie dlatego nalegam. Obcokrajowiec zawsze dostrzega najbardziej charakterystyczne elementy. Ten sam obraz, podziwiany po raz pierwszy robi odmienne wrażenie, niż kiedy obserwujemy go każdego dnia przez wiele lat. Oczy szybko przyzwyczajają się do oglądanych rzeczy, tak że najpiękniejsza, najdziwniejsza z nich staje się zwykła, schematyczna, a nawet nudna. Oczy cudzoziemca spoglądają na wszystko ze swego rodzaju świeżością, widzą szczegóły, które umykają uwadze stałych mieszkańców, dostrzegają blask światła w kolorach, które cała reszta postrzega jako matowe.

– To ogromna odpowiedzialność, po tylu latach oprowadzać założyciela ulicami stworzonego przezeń miasta. Być może mnie podobają się takie rzeczy, które pana wcale nie zainteresują.

– Proszę nie zapominać, że dobry ogrodnik zajmuje się każdą rośliną w swoim ogrodzie. Od razu orientuje się, czy należy ją wyrwać, czy też wesprzeć kijkiem.

– Jestem bardzo dumna, że darzy mnie pan takim zaufaniem. Ruszajmy więc, chociaż przyznaję się, że targają mną wątpliwości. Proszę spojrzeć na ten pomnik! Osobiście bardzo mi się podoba. Współczesne pomniki są z reguły dość banalne. W każdym mieście, dużym czy małym, bez względu na narodowość, prześladują nas monumenty o znaczeniu militarnym. Koń, bohater w galowym mundurze; wyjątkowo jakiś poeta lub muzyk, ale zdecydowanie rzadziej i bez tej przesadnej pompy. Natomiast Bari zdecydowało się na coś pięknego i oryginalnego zarazem. Wzniesiono pomnik ku czci... wody.

– Niesamowite! Woda była tutaj zawsze „wielką nieobecną”.

– Może właśnie dlatego? Ponieważ nigdy nie było jej tutaj pod dostatkiem, bo przez wieki Apulijczycy wzywali ją w swoich modlitwach i nikt lepiej niż oni nie jest w stanie docenić błogosławieństwa tego żywiołu. Oczywiście pamięta pan, co powiedział na temat wody Tales z Miletu?

Barion pochylił się ku mnie z ironicznym uśmiechem na ustach:

– Naturalnie! Jest ona kreatorką życia, początkiem świata.

– I chociaż nie była ona początkiem życia w Apulii, to bez wątpienia woda tworzy współczesne życie na tej ziemi. Proszę popatrzeć, Barionie, artyzm tego monumentu tkwi w jego prostocie. Prowincje, cierpiące od wieków na brak wody, zebrały się tutaj, aby wyrazić swą wdzięczność. Każda z nich przybyła ze swoim herbem. Foggia ze swym Archaniołem Michałem, Lecce z radosnym delfinem, Brindisi z potężną głową jelenia, Bari ze swym światłym pastorałem, Taranto ze skorpionem. Wszystko połączyło się przyjaźnie w tym basenie o ciepłym, krem-

wym kolorze „rachel”. Proszę przeczytać! Iluż mieszkańców, ile prowincji, ile gmin i ile kilometrów terenu składają uszanowanie wodzie, po wiekach suszy i jałowości, dziękując za pierwszy kamień węgielny nowego życia!

– Tak. Z dumą dostrzegam, że określenie „Apulia pozbawiona deszczu” należy już do przeszłości.

– Proszę spojrzeć! Co za szczęście, że system połączonych wodociągów pracuje pełną parą. Proszę popatrzeć, jak manifestuje swą siłę, wyrzucając z szerokiej gardzieli szemrzący strumień swojego bogactwa. Jak lśni w słońcu biała piana, jak przelewa się na niższy poziom, i zdaje się śpiewać pieśń pochwalną na cześć ludzkiej inteligencji i pracowitości, które zwyciężyły zachłanność i wrogość natury. Czy nie wydaje się panu, że wspaniały cel osiągnięty został przez energicznych mieszkańców Apulii?

– Ma pani rację. Gdyby ludzkość poświęciła całą swą odwagę, umiejętności, pracowitość do osiągnięcia podobnych celów, zamiast kierując się nienawiścią organizować wojny, ziemia byłaby dzisiaj bardzo przyjaznym miejscem do życia.

Chodziliśmy wokół fontanny, a ja dostrzegłam w oczach Bariona niewypowiedzianą radość i być może także wzruszenie. Łamiącym się głosem powtórzył:

– Wspaniały pomysł, po tylu wiekach suszy!

Kręciliśmy się potem przez dłuższy czas po ulicach miasta.

– Proszę zauważyć, jak rozrosło się miasto od czasu pańskiej ostatniej wizyty. Jest bardzo nowoczesne. Można by rzec „amerykańska miniatura”. Długie, proste ulice, zaprojektowane równolegle i krzyżujące się pod kątem prostym z sobą podobnymi...

– Jaka ogromna różnica w porównaniu ze starym Bari! – odpowiedział.

– A tutaj znajduje się uniwersytet.

Na balustradzie fontanny siedziały w słońcu grupki studentów.

– To jeden z najweselszych zakątków w mieście. Tutaj nie widać jeszcze nerwobóli i reumatyzmu. Wszystko można tu łatwo strawić. Zarówno wiadomości z filologii klasycznej i medycyny, jak i gotowane ślimaki.

– Widzę, widzę! Wolą siedzieć przed uniwersytetem, zamiast wewnątrz, w salach...

– A wie pan, dlaczego? Włosi mają wyjątkowe uzdolnienia w tej kwestii. Cały świat akademicki zamyka się w aulach wykładowych, a tutaj wprost przeciwnie, studenci uczą się przed budynkiem. To bardzo dziwne, bo na koniec dyplom wpada im w ramiona, tak jak piękna dziewczyna.

Przed uniwersytetem krząta się ogrodnik i deszcz z długiego, gumowego węża pada odwrotnie niż w naturze. Z dołu do góry. Zmywa kurz z drzew i palm.

Ta scena bardzo podoba się Barionowi. Po raz pierwszy widzi, że oprócz deszczu padającego z nieba, istnieje też inny, ziemski, wymyślony przez człowieka.

– Jaka obfitość wody! – wykrzykuje z entuzjazmem.

– Tutaj codziennie pada deszcz – wyjaśniam mojemu gościowi. – W tym budynku znajduje się cenny zbiór eksponatów, pamiętających pańskie czasy, a także dzieła sztuki z różnych epok. Ale nie ma tu wystarczająco dużo miejsca, żeby zapewnić im należną uwagę. Ekspozycja słoczona została na korytarzach. A teraz czeka na przeniesienie do nowego muzeum, znajdującego się w zamku, gdzie właśnie kończą się prace restauratorskie. To będzie odpowiednie miejsce dla tak cennego skarbu, unikatowego zarówno ze względu na walory artystyczne, jak i archeologiczne. A teraz zaprowadzę pana w takie specjalne miejsce w Bari, które darzę największą sympatią.

Jedną z przecnic, na końcu której otwiera się szafirowe okno, wysokie od asfaltu aż do nieba, docieramy na promenadę. Długa i giętka perspektywa, z jednej strony, pnąca się w górę ścianami okazałych budynków, z drugiej stojąca otworem przed niespokojnymi morskimi falami, ma w sobie coś majestatycznego. Żaden z budynków nie wyłamuje się z przyjętego stylu, każdy następny jest dopełnieniem poprzedniego. Wszystkie, niezależnie od specyficznych form zewnętrznych i proporcji, należą do stylu architektonicznego, który upowszechnił się między pierwszą a drugą wojną światową, ze smakiem nawiązując do monumentalnej tradycji tak typowej dla włoskiej architektury. Można w nieskończoność dyskutować o poszczególnych elementach tego czy innego budynku, ale trzeba przyznać, że godnie reprezentują one nie tylko siłę, ale również i harmonię. Wieże i kolumny, bogactwo płaskorzeźb, bramy i dziedzińce ozdobione fontannami i mozaikami, rzeźbione posągi symbolizujące konkretne idee, marmur i kamień, kolory kontrastujące bądź harmonizujące ze sobą, pastelowe i delikatne bądź jaskrawe w swoich odcieniach i z daleka wpadające w oko, wszystko to sprawia, że jest to jedna z najpiękniejszych nadmorskich promenad we Włoszech.

Barion obserwuje to wszystko jak urzeczony, a ja dostrzegam w jego spojrzeniu szczerą podziw.

– Podoba się panu promenada?

Uśmiechnął się tylko.

Przestraszyłam się, że być może ta część miasta, którą tak bardzo cenię, nie znalazła uznania w jego oczach. Ponownie zadałam pytanie, a on w odpowiedzi uściśnął mocno moją dłoń. Zrozumiałam, że w ten elegancki sposób wyraził swoją aprobatę i skomplementował mój wybór.

– Chce pan zobaczyć Pinakotekę?

– Z przyjemnością.

Wchodząc do Pałacu Prowincji natychmiast dostrzegam, że sprawił on na Barionie niesamowite wrażenie. Luksus, który tak łatwo może zmienić się w przesyt i trącić złym gustem, tutaj nie tylko uniknął tej pułapki, ale połączył się doskonale z nowoczesną i wyrafinowaną sztuką. Architektura i barwa marmurów, których intensywność konkuruje z sukcesem ze światłem zaproszonym tutaj specjalnie w tym

celu, ogromny dziedziniec i oryginalne schody łączą się bezdyskusyjnie w jeden z najwspanialszych przykładów współczesnej sztuki budowlanej, charakterystycznej nie tylko dla Bari, ale i dla całej Italii.

Mieszcząca się na ostatnim piętrze galeria jest nowoczesna i w niczym nie przypomina ubiegłowiecznego stylu, charakteryzującego się budzącym strach przepełnieniem, które sprawia, że już w pierwszej sali tracimy ochotę na odwiedzenie następnej.

– Jak tu przyjemnie! – stwierdza po prostu Barion. – Bardzo przestronnie, pełno tu światła i można swobodnie oddychać! Bardzo podoba mi się odcień ścian.

Zwiedzając poszczególne sale, obserwujemy uroczyste złoto tryptyków Vivariniego, bogactwo obrazów autorstwa artystów należących do szkoły weneckiej, jest tu Paris Bordone, Palma il Giovane, Veronese, Giovanni Bellini. Rzuci się w oczy dziwna czerwień Giuseppe Bonita, przezroczysta zieleń Corota oraz żywe i ekspresywne plamy kolorów na płótnach Irolli.

Krążąc wśród wielkich mistrzów, z przyjemnością zatrzymuję się przed starym znajomym:

(1) „Duch Kalabrii”, s. 246.

– Mattia Preti po raz kolejny sięgnął po swój ulubiony temat i wykorzystując ewangeliczną scenę przedstawił odwieczny dramat braku zaufania. Proszę zwrócić uwagę na sposób zobrazowania nieufności, na całą skalę ludzkiej chytryści, będącą idealnym symbolem materialnego, konkretnego i autentycznego osobistego doświadczenia. Malarz w genialny sposób wyeliminował wszystkie elementy, które mogłyby przywołać na myśl najłżejszy cień duchowości. Kiedy palec dotknie, dusza uwierzy. Niewypowiedziany niepokój przenika ten ludzki dramat, a towarzyszy mu także gorzka nuta ironii.

– Ale ja dostrzegam dramat nie w postaci Tomasza, lecz w spokoju i pogodzie ducha tego, który pozwala się dotknąć. W tej scenie najważniejszy jest gest mistrza, który w każdej epoce, łaskawie pozwala... uczniom przeżyć duchowe doświadczenie, nawet na... własnym ciele i w strukturze własnego dzieła. Proszę spojrzeć tylko na tych, którzy ich otaczają! Skupia się w nich cała ciekawość ludzkiej natury.

Przechodzimy od jednego obrazu do drugiego, mijając wieki, szkoły, style, umiejętności i tematy. Znalazłam w Barionie inteligentnego towarzysza. Istnieje taki typ kobiet, które przedkładają interesującą rozmowę nad czułe pieszczoty i potrafią się nią rozkoszować.

Z Pinakoteki udajemy się wprost do budynku Fiera del Levante, gdzie odbywają się targi. Staje się jasne, że sznur aut i taksówek pędzi niepowstrzymanie nie tylko, kiedy odbywa się jakieś wydarzenie sportowe, ale również na targi. Oczywiście towarzyszący mi mężczyzna nie ujawnia swojej tożsamości. Ze zrzęczością typową

dla dżentelmena zachowuje *incognito*. Ale przez chwilę zastanawiam się, co by się stało, gdyby, niespodziewanie wchodząc do budynku, oznajmił:

– Ja jestem Barion. Chciałbym zwiedzić targi.

Bez wątpienia jestem dumna z faktu, że Barion poświęcił nic nieznaczącej kobiecie jeden dzień ze swojego życia.

Wewnątrz Barion ożywia się. Podoba mu się ten wesoły, rozbawiony i śmiejący się tłum. Może rzeczywiście dostrzega w nim jakiś wschodni element, coś, co przed wiekami on sam tutaj zakorzenił. Czuje się wspaniale pomiędzy krzyżującymi się błyszczącymi neonami, gromadząc materiały reklamowe i próbki towarów. Interesuje go każde urządzenie. Zaprasza mnie do stojącego na uboczu kiosku, żeby poprobować piwa, pomarańczy, słodczy. Jemy cukierki, czekoladę, owoce. Bardzo smakują mu królewskie winogrona regina, migdały z Andrii, figi z Mandurii.

W końcu, widząc jak niebezpiecznie kurczy się jego portfel, zaczynam się niepokoić:

– Skąd weźmie pan pieniądze na powrót do Illirii?

Odpowiada, uspokajając mnie gestem:

– Proszę się nie przejmować! Tutaj wszyscy za mnie poręczą!

Zaczyna się gorączkowy taniec neonów i świateł. Niektóre kręcą się powoli, zmysłowo w rytmie tanga; inne w takt szalonej, amerykańskiej muzyki. Jest tutaj wszystko, czego tylko dusza zapagnie; są pawilony wielkie jak pałace i małe jak prywatne wille, kwiaty i palmy na rabatkach, szyldy i kolorowe proporce różnych krajów, oświetlone, szemrzące fontanny. Czeskie kryształły i polski węgiel, szwajcarskie zegarki i kanadyjskie lisy, tureckie słodkie rachatlukum i daktyle z Trypolis, samochody z Mediolanu i oliwki z Bitonto. Tysiące smaków, tysiące zapachów i form, tysiące surowych produktów i eleganckich opakowań. A nad tym wszystkim unosi się muzyka, która, krążąc pomiędzy pawilonami, łączy najróżniejsze systemy polityczne oraz narody prezentujące swoje specjalności; muzyka, która nawołuje do zakupu najbardziej egzotycznych produktów, która łączy wszystko, ludzi i przedmioty w tym międzynarodowym królestwie kupna i sprzedaży, zamówień, kontraktów i czeków.

– Proszę popatrzeć! Łączą się tutaj wszystkie najlepsze cechy mieszkańców Bari: zręczność, zmysł organizacyjny, aktywność, a nawet dynamizm, które powołały do życia tę cudowną *Fierę*. Wasze miasto może być naprawdę dumne z tej wschodniej perełki.

Wychodzimy na taras ogromnego pawilonu. Barion obładowany jak wielbłąd ulotkami oraz reklamówkami i pachnący wszystkimi perfumami świata (jest taki przystojny, że ekspedientki ze stoisk perfumeryjnych nie omieszkały zaprezentować mu swoich produktów, spryskując go obficie różnymi zapachami), uśmiecha się i widać, że jest po prostu szczęśliwy.



Żegna nas festyn świąteł. Sprytnie reklamy biegają jak zielone jaszczurki albo ciągną się jak elastyczne węże. Targi odbywają się w bezpośrednim sąsiedztwie morza, które otacza budynki i place swoim wieczornym atramentowym odcieniem, a szum wiatru stanowi żywy akompaniament muzyki, która dociera aż tutaj.

– Perła wschodu! – powtarza zamyślony Barion.

Gra muzyka, a Adriatyk wysyła jej na pomoc swoje fale. Wydaje nam się, że znajdujemy się na najwyższym pokładzie jakiegoś transatlantyku, przemierzającego ocean marzeń. I mogłabym przysiąc, że czuję, jak ten statek kołysze się na falach. A może to tylko moja głowa się chwieje, może to efekt wypitego wcześniej wina?

Jak przystało na tak piękną scenę, nie może zabraknąć poetyckiego śladu w postaci włoskiego księżycy. Zanurzamy się w romantyczną atmosferę wieczoru.

– Dziękuję panu za ten niezapomniany wieczór.

– Pani mi dziękuje?! Jak w takim razie ja mógłbym wyrazić moją wdzięczność?

Czuję, jak wino barwi swoim rubinowym kolorem całą tę morską arkę, fale i odbijające się w wodzie gwiazdy. Barion znika na chwilę i wraca z bukietem długich, czerwonych goździków.

– To dla pani z podziękowaniem za to, że zechciała pani przyjąć rolę mojego cicerone...

Podnoszę kwiaty i zanurzam w nich twarz. Nagle dostrzegam, że przede mną nie ma nikogo. Barion po prostu zniknął. Jak złudzenie, jak mgła, jak morską falę...

Patrzę na morze. Wydaje mi się, że w oddali, na falach, oddalając się powoli, kołysze się dziwna łódź, o zapomnianej już dzisiaj formie, takiej samej, jaką widziałam na starym herbie miasta i nie jest to byt realny, raczej swego rodzaju tajemnicza fatamorgana. Wśród enigmatycznych postaci w wysokich hełmach z grzebieniami zdaje mi się, że dostrzegam cień Bariona, który odpływa na pokładzie tego antycznego statku.

Gdzie teraz podąży? Do Illirii? Wraca do swojej legendy?

## Dwa obrazki Świętego Mikołaja

Zanim przybyłam do Bari i poznałam sekrety tego miasta, mój obraz Świętego Mikołaja był zupełnie inny. Każde dziecko w Polsce przez cały rok czeka na przybycie tego Świętego, ponieważ to on spełnia tam rolę włoskiej Befany. To znaczy przynosi prezenty.

Przybywa nocą z 5 na 6 grudnia, wśród srebrnych kwiatów z lodu, z długą brodą, zmierzwioną przez wiatr; przybywa w blasku pastorału, z mitrą na głowie,

ale nie sam, lecz w towarzystwie „diabła i anioła”. Anioł musi być silny, ponieważ dźwiga ogromny kosz wypełniony prezentami.

A w nim bogactwo różnorodności! Książki z obrazkami i migdałowe ciasteczka, ciepłe skarpetki i cukierki, wełniane rękawiczki i czekolada, kostki do gry, szachy, statki parowe, samochody, długie pociągi, samoloty, lalki, pajacyki. Wystarczy nakręcić sprężynę, żeby samolot wzbił się w powietrze, pajacyk zaczął tańczyć, a długi pociąg ruszył pędem przez pokój, nie potrzebując nawet torów, żeby lalka otwierała i zamykała oczy. Cały świat dziecięcych marzeń znajduje się w koszu Świętego Mikołaja!

Święty Mikołaj spełnia wszystkie marzenia i pojawia się osobiście w odpowiedzi na pisane w pocie czoła i ze ślinką na ustach listy. A jeśli którejś zimy, karząc niegrzeczne dziecko, Święty Mikołaj nie przychodzi, jest to bez wątplenia jeden z najtragiczniejszych dni w całym kalendarzu dzieciństwa.

Diabeł jest klasyczny, wymazany czarną sadzą, w czerwonej koszuli i z okazałymi rogami, i on także niesie swój kosz wypełniony różgami z wikliny.

Takie przedstawienia odbywały się w każdej szkole. Oczywiście Święty Mikołaj nie był ani multimilionerem, ani właścicielem kopalni złota, żeby móc podarować prezent każdemu dziecku w Polsce. Tak więc mądrzy rodzice, zdając sobie sprawę z tego faktu, pomagali mu ze wszystkich sił. Przecież w każdym mieście są tysiące dzieci i Święty nie jest w stanie wszystkich odwiedzić. I wtedy za pośrednictwem mamy, wkłada swój dar pod poduszkę rozgrzaną marzeniami i oczekiwaniem.

Ale w Polsce Święty Mikołaj nie był jedynie symbolem dzieciństwa, ale także patronem zakochanych. Ozdabiał pozłacane miotły żywymi różami (a trzeba zauważyć, że w grudniu wcale nietatwo o te kwiaty i ich ceny sztybną w górę), przywiązując je szerokimi, czerwonymi wstążkami do trzonków i dołączając listy z pogrózkami. Jeśli bohaterka nie będzie się dobrze sprawować, to za rok dostanie jeszcze większą miotłę! Ile marzeń zakochani pokładali w tych kwitnących miotłach Świętego Mikołaja!

Święty Mikołaj nie zapominał też o najbiedniejszych dzieciach, a pomagały mu w tym dzielnie różne organizacje i stowarzyszenia charytatywne. Tak więc trudno było znaleźć jakieś polskie dziecko, które 6 grudnia pod poduszką, nie znalazłoby chociaż paczki z ciepłym, wełnianym szalem i cukierkami.

Nie wspominając już o narzeczonych, którym Święty Mikołaj ofiarował nawet pierścionki zaręczynowe z brylantami.

Kiedy przybyłam do Bari, takie było moje wyobrażenie o tym świętym staruszką, przypominającym należącego do rodziny dziadka, wędrującego od domu do domu z prezentami. W Bari obraz ten niespodziewanie uległ zmianie!

Ten dobroduszny dziadek z długą, białą brodą pojawił się jako mędrzec, doradca z Nicei. Zmienił się w świętego czczonego przez marynarzy, który chroni w czasie morskich katastrof. Prawie w każdym domu w Apulii, w każdym sklepie w Bari

znajduje się obrazek ze Świętym Mikołajem. Ale przedstawiany on jest już jako filozof, z szeroką aureolą świętego nad głową i z oczami wzniesionymi w niebo. W Apulii nikt nie zna tego drugiego oblicza Świętego Mikołaja, ponieważ na tym polu zastępuje go godnie Befana. Rodzinny i serdeczny charakter polskiego wizerunku Świętego, przejawiający się również w tym, że każdy wujek (wystarczy, że odpowiednio wysoki), może przywdziać białe prześcieradło, przykleić sobie brodę i nałożyć na głowę imponującą mitrę z kartonu, tutaj zastąpiony został przepelnionym szacunkiem i dystansem. Święty Mikołaj nie chodzi pieszo. Dwa razy w roku opuszcza swoją wspaniałą bazylikę. Na morzu czekają wtedy na niego specjalnie przygotowane łódki, przypominające wszystkim, że właśnie 9 maja 1087 roku, 42 marynarzy przywiozło z Miry ciało Świętego, które złożono potem na wieczny spoczynek w bazylice w Bari.

Od wieków, w dzień upamiętniający tę rocznicę tłumy mieszkańców Apulii i nie tylko (przed pierwszą wojną światową swojego reprezentanta wysyłał na obchody święta nawet rosyjski car) spieszą, aby oddać hołd Świętemu, który tymczasowo rezyduje na cumującej w porcie, kilkanaście metrów od brzegu łódce. To niezwykle malownicze i chyba najbardziej popularne, ludowe widowisko w Apulii robi niesamowite wrażenie. 9 maja, podczas gdy na nadmorskiej promenadzie czuć już zdecydowany powiew wiosny, tłumy ludzi zajmują dostępne łódki i kierują się w stronę tej ozdobionej baldachimem, pod którym ustawiono posąg Świętego.

A wieczorem, kiedy gwiazdy na niebie kreślą tysiące liter w różnych, nieznanach alfabetach, a znad Adriatyku unosi się wiatr, z portu wyrusza ulicami starego miasta procesja ze statua Świętego Mikołaja, z powagą i godnością unoszącą się na falach rozentuzjasmowanego tłumu i wspierającą się na ramionach wiernych w aureoli pachnących kwiatów, świateł, muzyki, sztandarów i w otoczeniu przedstawicieli władzy w czarnych garniturach i białych rękawiczkach. A Święty nie przynosi żadnych podarunków. Co więcej, to on otrzymuje dary! Banknoty o wartości tysiąca lirów czepiają się jego płaszcz, a w procesji poprzedza go skrzynka, do której lud składa ofiarę!

Ten obraz był dla mnie zupełną nowością i zajęło mi trochę czasu, zanim udało mi się do niego przyzwyczać.

Po kilku dniach procesji po wypełnionych tłumem ulicach miasta i po niezliczonej ilości wizyt w różnych kościołach, Święty Mikołaj wraca do swojej bazyliki.

Kiedy wracałam z procesji, przyszła mi do głowy następująca refleksja: dlaczego w Polsce króluje tradycja, przedstawiająca Świętego Mikołaja jako hojnego ofiarodawcę, który niczego nie potrzebuje, a nawet rozdaje wszystko to, co posiada? Czy to możliwe, że chodzi jedynie o wytwór wyobraźni?

Następnego dnia, przeglądając biografię Świętego, oczywiście znajduję odpowiedź, ponieważ nic w świecie nie zdarza się bez uzasadnionych powodów. Oto wzruszająca scena. Mikołaj był potomkiem bogatego, szlacheckiego rodu. W sąsiedz-

twie, w biednej rodzinie żyły zaś trzy piękne dziewczyny, które nie miały żadnego posagu i w związku z tym nie mogły liczyć na zamążpójście. Kiedy nikogo nie było w pobliżu, młodzieniec zostawiał więc po kryjomu w ich domu złoto, a że nikt nie podejrzewał, skąd mogą pochodzić tak hojne dary, ludzie zaczęli uważali to za cud. I tak pierwsza dziewczyna wyszła za mąż, a potem to samo zdarzenie powtórzyło się i dwie następne znalazły mężów. W ten sposób dar Świętego Mikołaja, złożony po kryjomu na stole, w mniemaniu mieszkańców spadł z nieba i pomógł ubogim dziewczynom. W końcu przez przypadek odkryte zostało jego pochodzenie, a Święty Mikołaj w prawie cudowny sposób stał się przedmiotem czci całego miasta.

Być może to wydarzenie z życia Świętego posłużyło za poetycką bazę tradycji 6 grudnia. I to nie tylko w Polsce, ale także w innych krajach środkowej Europy, Święty Mikołaj, Svaty Mikolasz, Heiliger Klaus czczony jest po dziś dzień jako najhojniejszy z darczyńców.

Przełożyła  
*Aneta Banasik*